

Karol May

Maksymilian, cesarz Meksyku cz. 3



Leśna
Różyczka

Tom
9

Część III

Zwycięstwo
mścicieli





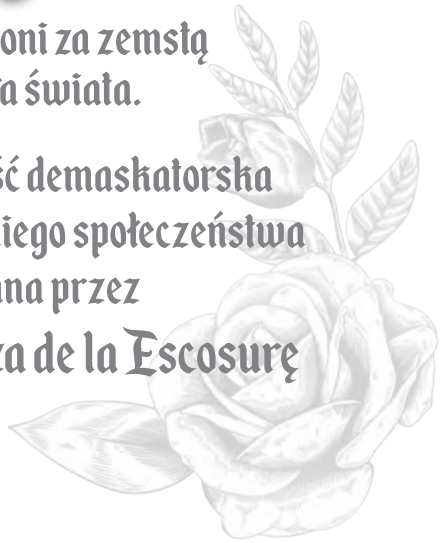
Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se” czyli „Księżę Skal”

KAROL MAY

Łeśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą
dookoła świata.

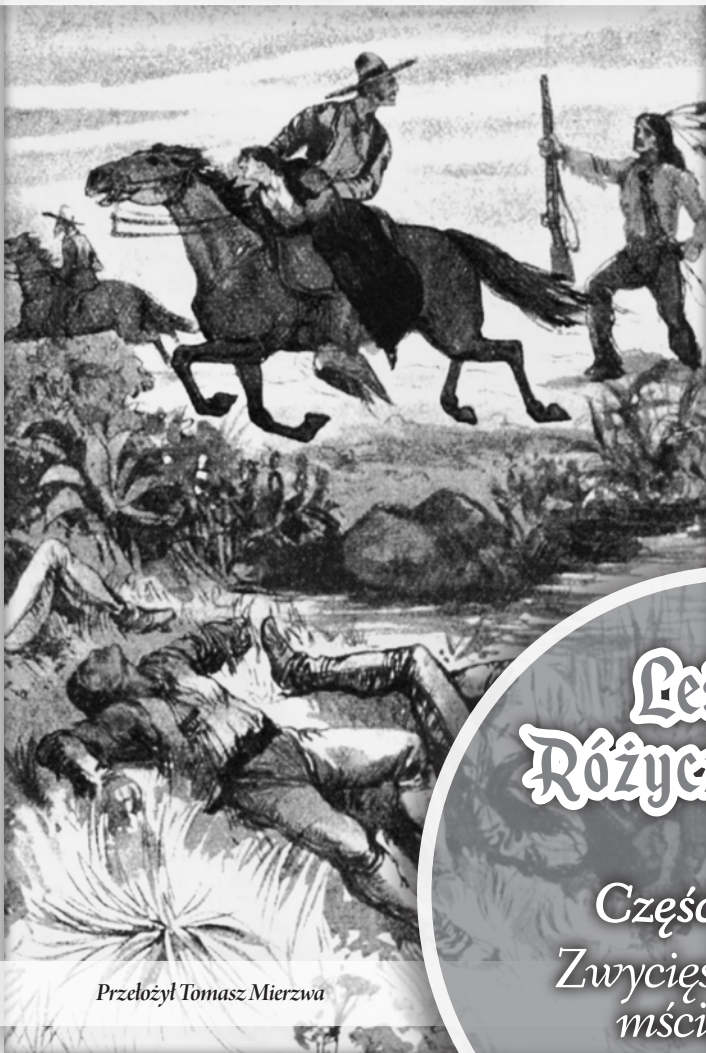
Wielka powieść demaskatorska
o tajnikach ludzkiego społeczeństwa
napisana przez
Ramona Diaza de la Escosure



MAKSYMILIAN,
CESARZ MEKSYKU
CZ. 3

Karol May

Maksymilian, cesarz Meksyku cz. 3

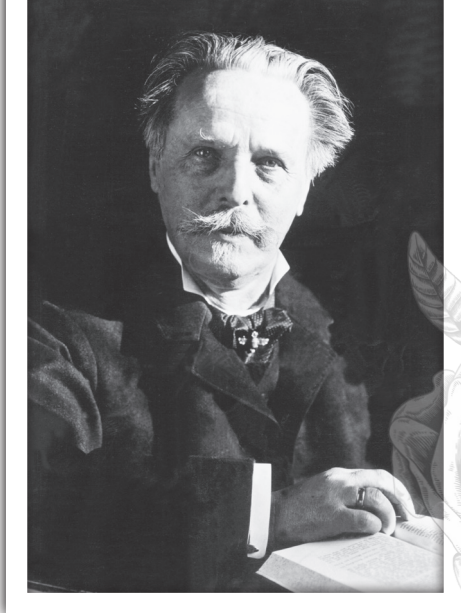


Przełożył Tomasz Mierzwa

Łeśna
Różyczka

Tom
9

Część III
Zwycięstwo
mścicieli



Sto czterdziesta szósta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ

Dziewiąty tom kolekcji
„Leśna Różyczka”

Karol May

Tytuł oryginału niemieckiego: *Waldröschen oder Die Rächerjagd rund um die Erde*

© Copyright for the Polish translation by Tomasz Mierzwa, 2024

44 ilustracje, w tym 15 kolorowych kart tablicowych anonimowego twórcy zaczerpnięte z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)

podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska

Przypisy: Tomasz Mierzwa, Andrzej Zydorczak

Korekta: Andrzej Zydorczak

Koncepcja graficzna, projekt i konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66268-99-9 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-38-4 (tom 9)



Wydawnictwo JAMAKASZ
www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758
Ruda Śląska 2024

ROZDZIAŁ TRZECI

MAKSYMILIAN, CESARZ MEKSYKU CZ. 3

Jak już wiemy, *sir* Henry Lindsay wylądował w porcie El Refugio, gdzie potężna Rio Grande del Norte, rzeka graniczna między Meksykiem a Teksasem wlewa się do zatoki morskiej.

Pomimo wielkości Rio Grande i wielu aspektów, którymi El Refugio zostało obdarzone przez naturę, miasteczko to pozostało oddalone od wszelkiego ruchu. Wynika to częściowo z nieuporządkowanych stosunków panujących w regionie, a częściowo z faktu, że obszary bez dostępu do morza, przez które przepływa rzeka, są nadal zamknięte dla handlu, to znaczy handlu światowego.

W ten sposób doszło do tego, że gdy Anglik przybył, w porcie nie było żadnych większych statków, oprócz nędznej brazylijskiej barki.

Jak już także wiemy, Lindsay kazał przeladować zawartość swojego statku, ale Sępi Dziób, będąc w Fort Guadeloupe nie był w tej sprawie dobrze poinformowany. Lindsay miał na pokładzie dwa małe parowce śrubowe, przystosowane do pływania po płytkich wodach, a ponadto pewną liczbę łodzi, które były przeznaczone do rzecznej transportu jego towarów.

Teraz te jednostki stały na kotwicy w niewielkiej odległości od ujścia rzeki i czekały tylko na powrót Sępiego Dzioba, by ruszyć w górę rzeki, gdzie łodzie z towarami miały być holowane przez dwa parowce.

Każdy z tych dwóch parowców miał małą, wygodnie urządzonej kabinę. W jednej z nich mieszkał *sir* Henry, a panna Amy w drugiej.

Oboje z niecierpliwością czekali na swojego posłańca i bardzo się martwili, że spotkało go jakieś nieszczęście. Siedzieli razem w kabinie Lindsaya i rozmawiali o tym. Był wieczór i już zrobiło się ciemno.

– Według obliczeń, które dla mnie sporządził, powinien już tu być – powiedział Lindsay. – Nie mogę tracić czasu. Jeśli nie przybędzie, poczekam cały jutrzejszy dzień, a potem wyruszę bez niego.

– Bez przewodnika? – zapytała Amy.

– Wśród moich ludzi jest dwóch, którzy dość daleko w górę znają rzekę. Zresztą mam nadzieję, że po drodze spotkam Sępi Dziób.

– Ale co, jeśli w drodze powrotnej przydarzy mu się jakiś wypadek?

– W takim razie będę musiał spróbować poradzić sobie bez niego.

– Albo jeśli stało się to w drodze w tamtą stronę, i dlatego w ogóle nie dotarł do Fort Guadeloupe i Juareza?

– To doprawdy byłoby bardzo fatalne, bo wówczas Juarez w ogóle nie wiedziałby o mojej obecności, a wtedy moja misja byłaby bardzo zagrożona. Ale nie mogę tu pozostawać. Jeśli Francuzi się o tym dowiedzą, należy się spodziewać, że pospieszą tutaj, aby skonfiskować mój ładunek.

– Tego bym im nie radził, jak kalkuluję!

Słowa te padły przy uchylonych drzwiach do kabiny, a gdy ojciec i córka skierowali tam swoje spojrzenia, rozpoznali tego człowieka, na którego tak niecierpliwie czekali.

– Sępi Dziób! – zawołał *sir* z widoczną ulgą. – Dzięki Bogu!

– Tak, dzięki Bogu! – odparł myśliwiec, podchodząc bliżej. – To była jazda! *Sir*, to nie była zabawa, płynąć w górę rzeki i ponownie nią spłynąć. A teraz przybywam i nie znajduję pana na dawnym miejscu. Nie miałem pojęcia, że aż dotąd pan tu dotarł.

– Ale mimo wszystko mnie znalazłeś. A teraz powiedz mi, jak ci się powiodło.

– Dziękuję panu, całkiem znośnie.

– A twoja misja?

– Wszystko jest już ustalone. Jesteście gotowi do drogi?

– Tak. Dwudziestu ludzi. Myślę, że to wystarczy.

– Też tak myślę, jeśli ci ludzie są wiarygodni.

– Mam nadzieję, że tak. Poznałeś więc Juareza?

– Tak.

– Więc naprawdę pojechałeś aż do El Paso del Norte?

– Nie. Zabawiłem kilka dni w Guadeloupe, aby spotkać się z Czarnym Gerardem, ale zostałem obficie wynagrodzony, bo wtedy przybył tam sam Juarez.

– Ach, więc wiedział o panu i przybył pana poznać?

– Nie, *sir*; on w ogóle nic nie wiedział, jak kalkuluję. Przybył, że tak powiem, przypadkiem, spontanicznie. Działy się tam cholernie osobliwe rzeczy, o których muszę panu opowiedzieć, *sir*.

Jego wzrok błędził po kabinie, jakby czegoś szukając. Lindsay, zauważywszy to, wskazał na składane krzesło i powiedział:

– Proszę usiąść i niech pan opowiada.

– Hm! Nie jestem przygotowany na tak długie opowiadanie, *sir*. Kiedy mówię, tak łatwo zasycha mi w gardle, i dobrze by było, gdyby pan...

– W porządku! – przerwał mu Lindsay, śmiejąc się. – Natychmiast zatroszczę się o krople, które są w stanie zwilżyć suche gardło.

Otworzył szafkę wiszącą na ścianie, wyciągnął z niej butelkę i szklankę, którą całkowicie napelnił i powiedział:

– Proszę pić, *master* Sępi Dziobie. Swoją drogą, pewnie też czujesz się głodny?

– Nie zaprzeczam, *sir*, ale głód może poczekać. Jedzenie przeskadza mi w mówieniu. Słowa chcą wychodzić, a łyki wchodzić do gardła; spotykają się po drodze, z czego oczywiście nic mądrego nie może wyniknąć, jak kalkuluję. Jednak można wziąć na język kroplę rumu i nie powinno być zakłóceń.

Mówiąc to oszczędnie łykał ze swojej szklanki. Prawdziwy, prawy westman nigdy nie jest pijakiem, jak na przykład marynarz.

– Bardzo chciałbym usłyszeć, co mi pan powie – rzekł Lindsay.

Jankes przytaknął z chytrym uśmiechem.

– A ja chętnie zobaczę, jak to pan przyjmie – odparł.

– Więc naprawdę s to ważne rzeczy?

– Tak.

– Ważne dla naszego przedsięwzięcia?

– Tak, ale ważne także pod innym względem.

Zrobił bardzo skrytą i filuterną minę. Ponieważ jednak nie od razu wyjaśnił, Lindsay zapytał:

– Jakie względy masz na myśli, *master*?

– No cóż, kiedyś słyszałem, że są jakieś osobiste relacje.

– Chce pan powiedzieć, że to, co ma mi pan do powiedzenia, zainteresuje mnie również osobiście, nie tylko ze względu na obecne przedsięwzięcie?

– Tak, *sir*; właśnie to miałem na myśli.

– Więc szybko mi opowiadaj.

– Otóż przybyłem do Fort Guadeloupe, do starego Pirnera – wspaniałego staruszka, ale jednak dość wielkiego osła, *sir*.

Odrzucił się na bok, wydał usta i, pamiętając zapewne swoje zachowanie u Pirnera, splunął z taką pewnością, że strumień śliny przeleciał tuż obok Lindsaya i wyleciał przez otwarte małe okienko kabiny.

Lindsay szarpnął głowę do tyłu.

– Proszę cię, *master* – powiedział. – Czy ten strzał był skierowany na mnie?

– Proszę się nie martwić, *sir!* – odparł spokojnie myśliwiec. – Kieruj strzał tam, gdzie chcesz; nie zgubi się żadna kropla. Nie był pan w najmniejszym niebezpieczeństwie! Przyjechałem więc do Fort Guadeloupe i zastałem tam Czarnego Gerarda. Pomyślałem, że powinien mnie zabrać do Paso del Norte, ale to nie było konieczne, bo Juarez był łaskaw mnie ubiec. Były ku temu dobre powody. Czy wie pan, że walka już się zaczęła?

– Nie słyszałem ani słowa.

– Cóż, Juarez zaczyna się ruszać. Ma po swojej stronie Apaczów. Ci zniszczyli całą kompanię w Diabelskiej Przełęczy, a potem Juarez w Fort Guadeloupe tak walnął wroga w głowę, że tylko jeden człowiek uciekł, a i ten też został oskaldowany. Teraz prezydent pojechał do Chihuahua, aby zająć to miasto...

– Ach! Czy ma ze sobą wystarczającą ilość ludzi, by tego dokonać?

– Proszę się nie martwić, *sir!* Z Chihuahua pojedzie do Coahuila, aby też je zdobyć, a potem przyjdzie na spotkanie z panem.

– Gdzie?

– U połączenia z Rio Sabina.

– Kiedy?

– Tak to zostało obliczone, że przybędziemy na spotkanie w tym samym czasie, jeśli pan wyruszy jutro rano, *sir*.

– Wyruszę nawet dzisiaj wieczorem, jeśli ciemność nie będzie przeszkodą.

– To nam nie przeszkadza. Rzeka jest wystarczająco szeroka, a woda tak błyszczy, nawet w ciemności, że można ją odróżnić od lądu.

– Czy Juarez przybędzie sam, czy wysle przedstawiciela?

– Pojawi się osobiście, jak kalkuluję.

– Oczywiście z wystarczającą osłoną?

– To się rozumie samo przez się! Nie zabraknie ludzi, bo gdy tylko pojawi się w Chihuahua, wszyscy będą się do niego garnać.

– Więc jest pan pewny, że zniszczył Francuzów?

– Bardzo pewny, bo byłem tam i pomagałem.

– Czy Juarez osobiście dowodził?

– Właściwie tak, choć osobiście nie brał udziału w bitwie.

Głównymi osobami, przynajmniej na początku, byli Czarny Gerard, który musiał bronić fortu, a także Niedźwiedzie Oko, wódz Apaczów.

Te ostatnie słowa wypowiedział z silnym naciskiem. Amy szybko podniosła wyżej głowę i zapytała:

– Niedźwiedzie Oko? Jakież to podobne przydomko!

– Do Niedźwiedziego Serca, czyż nie? – zapytał myśliwiec.

– Tak, rzeczywiście – odpowiedziała. – Znał pan tego ostatniego?

– Wcześniej nie, ale teraz tak – odrzekł dość obojętnym głosem.

– Zapewne z opowiadania?

– Och, nie, mam na myśli osobiście.

– Co pan mówi! Zna pan wodza zwanego Niedźwiedzie Serce?

– Tak.

– Gdzie go pan poznał?

– Właśnie teraz, w Fort Guadeloupe.

– A więc to nic innego jak tylko zbieg okoliczności. Indianie często nadają sobie nazwy zwierząt. Ktoś inny przyjął to słynne nazwisko.

– Och, nie! Indianin nie przyjmuje imienia, które należy do innego.

– Nawet jeśli jest z innego plemienia?

– Zwłaszcza wtedy.

– Do jakiego plemienia należy Niedźwiedzie Serce, którego widział pan w Guadeloupe?

– Jest Apaczem, a Niedźwiedzie Oko to jego brat.

– Mój Boże, papo, czy to nie jest bardzo dziwne?

– Rzeczywiście – odpowiedział lord, na którego twarzy zaczęło odbijać się niezwykle zainteresowanie. – *Master Sępi Dziobie*, muszę panu powiedzieć, że Niedźwiedzie Serce zniknął już wiele lat temu.

– To prawda, *sir*, a jego brat Niedźwiedzie Oko z tego powodu co tydzień oskalpowywał białego człowieka. Długo na próżno szukał go i doszedł do wniosku, że wódz został zabity przez białych.

– Ale teraz pan mówi, że widział Niedźwiedzie Serce!

– Tak, istotnie, *sir*.

– Tego zaginionego człowieka?

– Tak, jego samego, nikogo innego.

Wtedy zarówno ojciec, jak i córka podskoczyli, a lord wykrzyknął:

– Co za wiadomość! *Master Sępi Dziobie*, nie wiesz, co za wieści nam przyniosłeś! Czy rozmawiałeś z Niedźwiedzim Sercem?

– Zamieniłem tylko kilka słów. Tacy ludzie jak on mówią tylko wtedy, gdy muszą.

– Opowiedz, opowiedz mi szybko!

– Otóż przybył do fortu zanim rozpoczęła się walka, a gdy nadszedł decydujący moment, wyskoczył na koniu na zewnątrz i w sam środek wroga. Ten wyczyn właściwie przechylił szalę, bowiem kiedy Apacze rozpoznali swojego wodza, którego uważali za zaginionego, stali się przeciwnikiem nie do pokonania.

– Czyli nie wiedzieli nic o jego obecności?

– Ani słowa!

– Ale Niedźwiedzie Oko, jego brat, też nic?

– Także ani słowa. Apacze ci przybyli do Fort Guadeloupe, aby uderzyć na wroga; ten bronił się dzielnie i utworzył czworoboki, których nie można rozbić. Bitwa już trwała, gdy nagle podjechał galopem wódz wymalowany w wojenne barwy Apaczów, wdarł się w środek jednego z czworoboków i zrobił wylom. Tym jeźdźcem był Niedźwiedzie Serce, którego jego ludzie uważali za martwego od prawie osiemnastu lat.

– Och, papo, teraz wreszcie będziemy coś wiedzieć! – zawołała Amy, klaszcząc w ręce.

– Jeśli to naprawdę jest Niedźwiedzie Serce, to tak – przytaknął lord.

Łowca ukrył chytre drgnięcie warg i powiedział:

– To jest ten właściwy Indianin, *sir*.

– Ale, czy nie dowiedziałeś się, gdzie on był przez ten cały czas?

– No właśnie, gdzie miałby być? Pewnie błąkał się po sawannie czy gdzieś tam. Ci czerwonoskórzy to przecież czyści włóczędzy.

– Och, to nie był on! Sądzi pan, że zostanie przy prezydencie?

– Tak.

– I może przybędzie nad rzekę Sabinę?

– Myślę, że tak, *sir*.

– Dzięki Bogu! Zobaczymy go i porozmawiamy z nim. Dowiemy się, co wie o swoich ówczesnych towarzyszach i jak sam sobie radził. Po znalezieniu jakiegokolwiek śladu będziemy za nim podążać tak daleko, jak to możliwe. Czy był z nim ktoś jeszcze, *master* Sępi Dziobie?

Zapytany zrobił najbardziej obojętną minę na świecie.

– O, tak – odpowiedział. – Był tam pewien człowiek, niejaki Bernardo Mendosa.

– Czy rozmawiał pan z nim?

– Trochę.

– Nazwisko jest mi nieznane.

- Był, jak sędzę, pierwotnie ogrodnikiem z Manresy.
- Manresy w Hiszpanii? – zapytała żywo Amy.
- Tak.
- Boże! Papo, z pewnością istnieje jakiś związek z innymi.
- Zapewne tak – odparł lord. – Przynajmniej nie jest prawdopodobne, by Niedźwiedzie Serce spotkał się z tym ogrodnikiem z Manresy przypadkowo. Czy nic o tym nie słyszałeś, *master*?
- Nie pytałem o to, nawet Indianki, która była jeszcze razem z nim.
- Była z nim jakaś Indianka? Kim ona była?
- Córką Misteków i miała na imię Karja.
- Oboje spojrzeli na niego z szeroko otwartymi oczami.
- Karja? Siostra Bizoniego Czolo? – zapytała Amy.
- Tak, Bizonie Czolo też tam był.
- Przebiegły łowca udawał, że nie zauważa ich podniecenia.
- Czy rozmawiał pan z nim? Proszę szybko odpowiedzieć! – zawołała dziewczyna.
- Ani słowa! Z tą drugą damą także nie. Gdybym wiedział, że państwo tak bardzo interesujecie się tymi ludźmi, wypytałbym bardzo dokładnie.
- Wspomniał pan o innej damie – wtrącił się lord. – Kim ona była?
- Nazywała się *señorita* Emma.
- Emma? Jej nazwisko! Nie słyszałeś go?
- Hm, chwileczkę! Myślę, że nazywała się Emma Arbellez.
- Wtedy Amy podbiegła w stronę ojca, zarzuciła mu ręce na szyję i wykrzyknęła:
- Czy słyszysz to, papo?! Och, będziemy mieli jakieś wieści!
- Ta *señorita* Emma wydawała się być zaręczona – kontynuował spokojnie Sępi Dziób. – Przynajmniej był tam *señor*, dla którego była wyjątkowo czuła.

– Czy słyszałeś może jego nazwisko?

– Tak. Miał przy sobie brata, który był kapitanem lub sternikiem. Nazywali się Helmers. Drugi brat, nawiasem mówiąc, był słynnym myśliwcem i jako taki zyskał miano Grzmiącej Strzały.

Wtedy lord położył mocno rękę na ramieniu łowcy. Ale ta ręka drżała, a jego głos również zadrżał, gdy zapytał:

– Czy to byli wszyscy, wszyscy, którzy byli tam razem?

– Muszę pomyśleć, *milordzie*. Tak, przychodzi mi na myśl jeszcze jeden, człowiek ogromnej postury, z brodą sięgającą mu do pasa.

– Jak on się nazywał? Szybko, szybko!

– Hm! Właściwie to był lekarzem, ale także słynnym myśliwcem. Nazwano go nawet Księciem Skal.

– Sternau? – zapytała, a raczej wykrzyknęła Amy.

– Sternau – przytaknął myśliwy. – Tak, tak się nazywał.

– Dalej, dalej! Czy nie było innego, jednego więcej?

– Innego bardzo starego człowieka nazywali *don* Ferdinando. Chyba stary Pirnero powiedział, że ten *señor* był hrabią de Rodriganda.

Po tych słowach lord już nie potrafił dłużej wytrzymać.

– Cudownie, najwspanialej! – zawołał, tuląc córkę mocno w swoich ramionach. – Teraz wszystkiego się dowiemy, Amy!

Jednak ona, będąc uścisku odwróciła się twarzą do myśliwca i zapytała:

– Czy nie było nikogo innego, kogo by można było wymienić?

– Był jeszcze jeden, panienko, ale to już ostatni.

– Kto to był? Kto? Na litość boską, mów pan.

– To był bardzo przystojny młody człowiek, który mimo różnicy lat wyglądał bardzo podobnie do starego hrabiego, nadzwyczaj podobnie.

Oczy Amy otworzyły się niemal nienaturalnie szeroko. Jej pierś falowała, a piękna twarz powlekleła się niemal śmiertelną bladeścią. Chciała coś powiedzieć, ale z podniecenia nie mogła wydobyć ani słowa.

– Jak nazywał się ten młody człowiek? – zapytał lord.

– Sternau był chyba z nim na „ty”. Wydaje się zwracał się do niego: „Mariano”.

– Ma-ria-no! – wyszeptala Amy.

Wysunęła ramiona z objęć ojca. Osunęła się przy nim na kolana, objęła ramionami jego nogi i wybuchnęła rozdzierającym serce, ale przynoszącym ulgę szlochem. Lord schylił się ku niej, położył rękę na jej głowie i powiedział, podczas gdy łzy potoczyły się po jego policzkach:

– Moje dziecko, moje drogie, drogie dziecko. To jest wielki wstrząs. Niech Bóg sprawi, żeby udało ci się go przezwyciężyć!

Sępi Dziób wymknął się przez na wpół otwarte drzwi. Na zewnątrz wypluł swoją prymkę strumieniem przez szerokość pokładu aż do wody, wyciągnął z kieszeni kolejny kawałek tytoniu do żucia, powoli wsunął go do ust i wymamrotał z zadowoleniem:

– Dobrze się spisałeś, stary, nadzwyczaj dobrze. Jesteś cholernie mądrym facetem! Gdybym natychmiast oznajmił jej tę wiadomość, *miss* Amy zemdlaby albo nawet umarła z powodu wielkiej radości. Te kobiety są zrobione z zupełnie innego materiału niż my; ale, do diabła, mnie też oczy łzawią. Ech, ech, Sępi Dziobie, ty też pomimo swojego ogromnego sprytu nie jesteś nikim innym jak tylko starą babą.

Chodził po pokładzie tam i z powrotem, pluł na prawo i lewo do wody, jakby w ten sposób zapewnić najodpowiedniejsze ujście swoim emocjom; potem z powrotem ruszył do kajuty, przed której drzwiami zatrzymał się, by czekać, aż go zawołają.



– Ma-ria-no! – wyszeptala Amy.

Wewnątrz rozbrzmiewały półgłosne słowa, jakby modlitwy, ale wtedy usłyszał pytanie Amy:

– Ale gdzie jest Sępi Dziób?

– Oto jestem, *milady* – powiedział, wchodząc szybko do środka.

– Mamy do pana jeszcze kilka pytań. Czy nie dowiedział się pan o wymienionych osobach nic więcej ponad to, co już nam powiedziałoś?

Przesunął prymkę z boku na bok, podrapał się ręką po głowie i odpowiedział:

– Och, *milady*, nie mogę zważyć na omdlenie, bo inaczej sam zemdleję!

– Ach, chciał mnie pan oszczędzić?

– Tak, to będzie być może właściwe słowo, jak kalkuluję.

– Więc wiesz więcej?

– Możliwe...!

Wówczas chwyciła go za szorstką rękę i poprosiła błagalnym głosem:

– Mów, mów! Teraz możesz powiedzieć wszystko, wszystko, bo ja jestem już przygotowana do wysłuchania wszystkiego.

– Nawet o tym Mariano? – zapytał z figlarnym uśmiechem.

– O nim też – odpowiedziała, rumieniąc się. – Ale dlaczego najpierw wypowiada pan to imię?

– Bo *señor* Mariano był czystym prochem, gdy powiedziałem, że jestem posłańcem od *sir* Henry'ego Lindsaya.

– Co powiedział?

– Hm, kiedy dowiedział się, że *miss* Amy jest z ojcem, chciał udać się ze mną w moim canoe do El Refugio.

– Dlaczego pan go nie przywiózł?

– Ponieważ moje canoe jest zbudowane tylko dla jednego człowieka i poza tym inni mu to odradzali. Zobaczy go pani dopiero przy Juarezie, ale przekazał mi tyle pozdrowień, że chyba

zgulębem po drodze kilka milionów z nich. Jednak zostało ich jeszcze tyle, że można by nimi przykryć całą ziemię.

– Cieszył się dobrym zdrowiem? Jak wyglądał? Jak był ubrany?

– Był w dobrym zdrowiu; wyglądał jak dziedzic hrabiowskiego domu i był ubrany całkiem tak, jak to jest w zwyczaju tutaj w Meksyku.

– Czy wymienione przez pana osoby również brały udział w walce? – zapytał lord.

– Tak. Uważam, że bez ich pomocy nie udało by nam się pokonać Francuzów. Juarez też o tym wie.

– Boże! – powiedziała Amy z niepokojem. – Jedzie z nimi do Chihuahua. Zapewne tam też będzie musiał walczyć, a potem w Cohahuila.

– Nie martw się o tych ludzi, *milady*. Wygląda na to, że dobrowolnie oddali się pod komendę Sternaua, a jest to człowiek, który dobrze wie, co robi. Jestem przekonany, że nie będzie narażał siebie i swoich ludzi na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

– Ale gdzie przez ten długi czas byli zaginionieni?

– Najlepiej byłoby, gdybym powiedział państwu wszystko, czego się o nich dowiedziałem. Ale, *milordzie*, moje gardło jest znowu tak bardzo twarde i kruche, że...

– Tu jest butelka – przerwał mu *sir Lindsay*. – Wystarczy tylko sobie nalać!

Sępi Dziób tak uczynił; łyknął spory łyk, po czym rozpoczął swój raport.

Nie trzeba dodawać, że ojciec z córką z największą uwagą wsłuchiwali się w każde jego słowo. Wszystkie ich zmysły były, że tak powiem, teraz skupione na słuchaniu. Gdy łowca skończył, jeszcze dodał:

– Zatem to wszystko, co wiem. Szczegóły usłyszycie od nich samych, jak tylko dotrzemy do Sabiny.

– Więc *señorita* Emma i Karja również jadą do Cohahuila? – zapytała Amy.

– Zapewne tak.

– I do rzeki Sabina?

– Nie wydaje mi się. Ale jedzie się tam jeden dzień, można więc bardzo łatwo dotrzeć do tych dwóch pań.

– Mam do pana jeszcze wiele pytań...

– Och, *milady*, nic więcej nie wiem! – zapewnił.

– Nie, pan wie o wiele więcej. Trzeba tylko pana wypytać.

– Może mnie pani rozciąć, ale ja nic więcej nie wiem!

– Och, wie pan! Wy, mężczyźni, po prostu nie myślicie o wszystkim naraz. Jest tyle drugorzędnych okoliczności, które pan uważa za zbędne, a które dla nas, pań, mają największe znaczenie. Nie myśli pan o nich, ale kiedy zostanie to przypomniane, będzie mógł pan odpowiedzieć.

– Z pewnością i naprawdę nic sobie nie przypominam – odparł. – Może mi pani wierzyć, jak kalkuluję.

– Cóż, udowodnię to panu. Jakie oczy miała ta *señorita* Resedilla, o której mi pan opowiadał?

– Niebieskie.

– A te dwie młode Meksykanki, Pepi i Zilli?

– Czarne, bardzo czarne.

– Gdzie ten Mały André, którego nazwał pan Niemcem, miał swój dom?

– W reńskiej Bawarii. Jego brat jest myśliwym u starego kapitana i nadleśniczego w Moguncji.

– Może w Rheinswalden? – zapytała szybko.

– Tak, tak jakoś się to nazywało.

– Kapitan nazywa się Rodenstein?

– Prawie wierzę, że to właściwe nazwisko.

– Cóż to za zbieg okoliczności. Widać dość wyraźnie, że Pan Bóg trzyma sznurki w swojej wszechmocnej dłoni. Ale wciąż jest jeszcze wiele rzeczy, na które może mi pan odpowiedzieć.

– Hm, wydaje się, że tak. Kto by pomyślał, żeby w opowiadaniu powiedzieć, jakiego koloru są oczy jakiegoś człowieka?

– Właśnie wypytam pana o takie rzeczy, bo mają one dla mnie wielką wartość. Gdybyśmy tylko mogli wyruszyć w drogę! Czy jest to możliwe?

– *Milord* już pytał. To nie jest trudne.

– Jednak pan jest zmęczony?

– Phi, dobry myśliwiec nie wie, co to zmęczenie. Jeśli chcesz wyruszyć, *milordzie*, jestem do pańskiej dyspozycji. Czy twoi ludzie są razem?

– Wszyscy. Kotły są również rozgrzane, jak pewnie pan uważał.

– Rozdysponuje pan łodzie towarowe na dwa parowce?

– Oczywiście.

– Zatem będą dwa pociągi. To faktycznie jest dość nieprzyjemne, ale nie ma innego wyjścia. Będę na pierwszym parowcu jako pilot. A pan?

– Na tym samym parowcu.

– A *milady*?

– Jej kabina jest na drugim parowcu.

– Nie podoba mi się to. Czy *milady* nie mogłaby być na naszym parowcu?

– Dlaczego? To nie byłoby zbyt wygodne.

– Ale zwiększyłoby bezpieczeństwo *milady*.

– Więc czegoś się pan obawia?

– Szczęśliwie przepląnąłem tam i z powrotem, ale w tym kraju i w tych czasach nie wolno być nieostrożnym. Dlatego nigdy nie będziemy stawać na kotwicy wieczorem przy brzegu, jak to się zwykle robi, ale zawsze pozostaniemy w środku nurtu. Czy pańscy ludzie są dobrze uzbrojeni?

– Tak, wszyscy. Zresztą mam broń na łodziach. Nie mamy się więc zupełnie czego obawiać, *master* Sępi Dziobie.

– Można by tak faktycznie myśleć, ale mimo wszystko nie możemy niczego przegapić. Przygotuj się pan do wypłynięcia, ja zajmę się resztą.

Chodził od łodzi do łodzi i spotkał kilku znajomych wśród osób zwerbowanych na tę wyprawę. Pozostali również sprawiali wrażenie, że można na nich polegać. Nakazał sternikowi drugiej łodzi parowej trzymać się jak najbliżej za pierwszym zestawem łodzi, po czym wrócił do lorda.

Teraz wydano liny holownicze i wszystkie barki połączono ze sobą. Gwizd z łodzi parowej dał sygnał do podniesienia kotwic i wkrótce dwie kolumny zaczęły poruszać się w górę rzeki, jedna za drugą.

Było wprawdzie ciemno, ale świeciło kilka gwiazd, a osobliwy blask wody wystarczał, by ich prowadzić w dobrym kierunku.

Sępi Dziób stał na dziobie, spoglądając przed siebie, a Amy zajęła miejsce obok niego. Pytała go o tysiące drobiazgów, a teraz myśliwiec naprawdę zdał sobie sprawę, że ma jeszcze wiele rzeczy do opowiedzenia, o których nie sądził, że są warte, by o nich wspominać...

Jeśli podąży się w górę rzeki do miasta Rio Grande City, które znajduje się na lewym brzegu, wkrótce dopłynie się do miasta Mier na prawym brzegu. Stamtąd jednak rzeka pokonuje dystans około piętnastu niemieckich mil¹, zanim dotrze się do Revilli i Bellevilli, gdzie rzeka Sabina wpada do Rio Grande.

Na tym długim odcinku nie widzi się prawie nic poza lasem rosnącym na obu brzegach. Las ten jest podszyty gęstymi krzakami, ale dopiero w niewielkiej odległości od rzeki krzaki znikają, a wysoki las wznosi ku niebu swoje ogromne pnie jak gigantyczne kolumny.

¹ *Mila niemiecka* (pruska) – miara odległości, równa 7532,48 m; używana była w Prusach, również na ziemiach polskich pod zaborem pruskim, jako miara pocztowa, tzw. miła pocztowa.

Pod tym baldachimem z wielkich słupów można łatwo się poruszać, nawet na koniu, tylko krzaki wzdłuż brzegu rzeki znacznie ograniczają prędkość.

W głębokim cieniu tego lasu, równoległe do brzegu rzeki jechała w górę rzeki bardzo znaczna grupa jeźdźców. Wszyscy byli bardzo dobrze uzbrojeni, ale ich konie wydawały się niezwykle zmęczone.

Na czele podążało dwóch osobników. Jednym z nich był Pablo Cortejo, niedorzeczny pretendent do prezydentury Meksyku. Jego twarz była bardzo ponura; wydawał się być w bardzo złym nastroju. Po każdym z jego ludzi było też widać, że podzielają zły nastrój swojego przywódcy. Cortejo prowadził z sąsiadem półgłosem rozmowę, podczas której słychać było niejedno przekleństwo.

– Szlag mnie trafia na myśl, że użyli dwa parowce! – przeklął Cortejo.

– To nie jest takie najgorsze, *señor* – odparł drugi. – Ale jeszcze bardziej przekłety jest pomysł, że nigdy nie dobijają do brzegu. Liczyliśmy na to, że w nocy ich zaskoczymy. Ale to na nic!

– Niech diabli wezmą tego Anglika! Ścigamy go od San Juano, zajechaliśmy nasze konie prawie na śmierć, a wszystko bez skutku.

– Jedynym sposobem, w jaki możemy go złapać, jest podstęp, *señor*.

– Twoja sugestia też nie jest dobra, bo Anglik nie przybije do brzegu.

– Na pewno, ale niech tylko sam wylezie na brzeg...

– Nie zrobi tego.

– Pozwolisz mi się tym zająć, *señor*?

– Więc naprawdę chcesz się na to odważyć?

– Tak, ale oczywiście za obiecaną nagrodę.

– Dostaniesz ją. Kiedy dotrzemy na miejsce?

– Za pół godziny. Jest ono bardzo odpowiednie dla naszych celów. Raz tamtędy przejeżdżałem i rozbiłem tam obóz na noc.

– Twój pogląd wydaje mi się całkiem niezły. Jeśli złapiemy Anglika, innych też dostaniemy. Ale najpierw musimy mieć jego.

– Dopadniemy go, *señor*, jestem tego pewny.

Mężczyzna całkiem dobrze określił czas. Po pół godzinie dotarli do miejsca, gdzie rzeka bardzo ostro zakręcała. Powstały półwysep wychodzący w wodę składał się, jak można sobie wyobrazić, ze skalistego podłoża i był pokryty jedynie niską roślinnością. Miejsce to oferowało niezakłócony widok na całą szerokość koryta, ale także z rzeki można było dojrzeć cały półwysep. Dopiero około pięćdziesięciu kroków od brzegu zaczynał się las. Tego, co działo się w jego wnętrzu, nie można było zobaczyć z rzeki.

Oddział zatrzymał się właśnie w tym lesie.

Tymczasem lord Lindsay zbliżał się do tego miejsca, nie podejrzewając, że tak duża grupa mężczyzn podąża za nim prawym brzegiem z zamiarem odebrania mu ładunku.

Słońce było już dość nisko, gdy pierwszy parowiec dotarł do zakrętu. Lord stał obok sternika razem z Sępim Dziobem.

– Jak daleko mamy do ujścia Sabiny? – zapytał myśliwca Lindsay.

– Dotrzemy do niego jutro w południe, a potem skręcimy w Sabinę. Tam jednak musimy pokonać zakręt. Kto zna drogę i ma dobrego konia, może w bardzo krótkim czasie dotrzeć do miejsca, w którym jesteście oczekiwani. Ale spójrz, *milordzie*. Czy tam po lewej stronie na gołym brzegu nie stoi jakiś człowiek?

– Rzeczywiście – odpowiedział lord. – Teraz znowu usiadł.

– Och, nie! – rzekł sternik. – On nie usiadł, ale upadł. Ten człowiek wydaje się być ranny.

– Teraz znowu wstaje, ale tylko z wielkim trudem – powiedział Sępi Dziób. – Macha ręką. Wydaje się, że powinniśmy zabrać go ze sobą.

– Zróbmy to – poprosiła Amy, która teraz przyszła. – Może spuścimy łódkę, papo?

– Myślę, że powinniśmy to zrobić – odpowiedział. – Nie wolno nam odmówić pomocy nieszczęśnikowi leżącemu bezradnie na tym pustkowi.

– Najpierw posłuchajmy, bo coś woła – stwierdził Sępi Dziób.

Zobaczyli, że ten człowiek przyłożył ręce do ust i krzyknął:

– Juarez!

Wymówił tylko to jedno słowo i wydawało się, że przyniosło ono zamierzony efekt.

– Posłaniec od prezydenta – stwierdził lord. – Musimy go przyjąć. Ja sam pójdę na brzeg, aby od razu z nim porozmawiać.

– Tego pan nie zrobisz, *milordzie*. Jesteśmy tu w pierwotnym lesie i nie wolno się panu narażać. Wystarczy zwodować łódkę i ściągnąć tu tego człowieka. I to właśnie zamierzamy teraz zrobić.

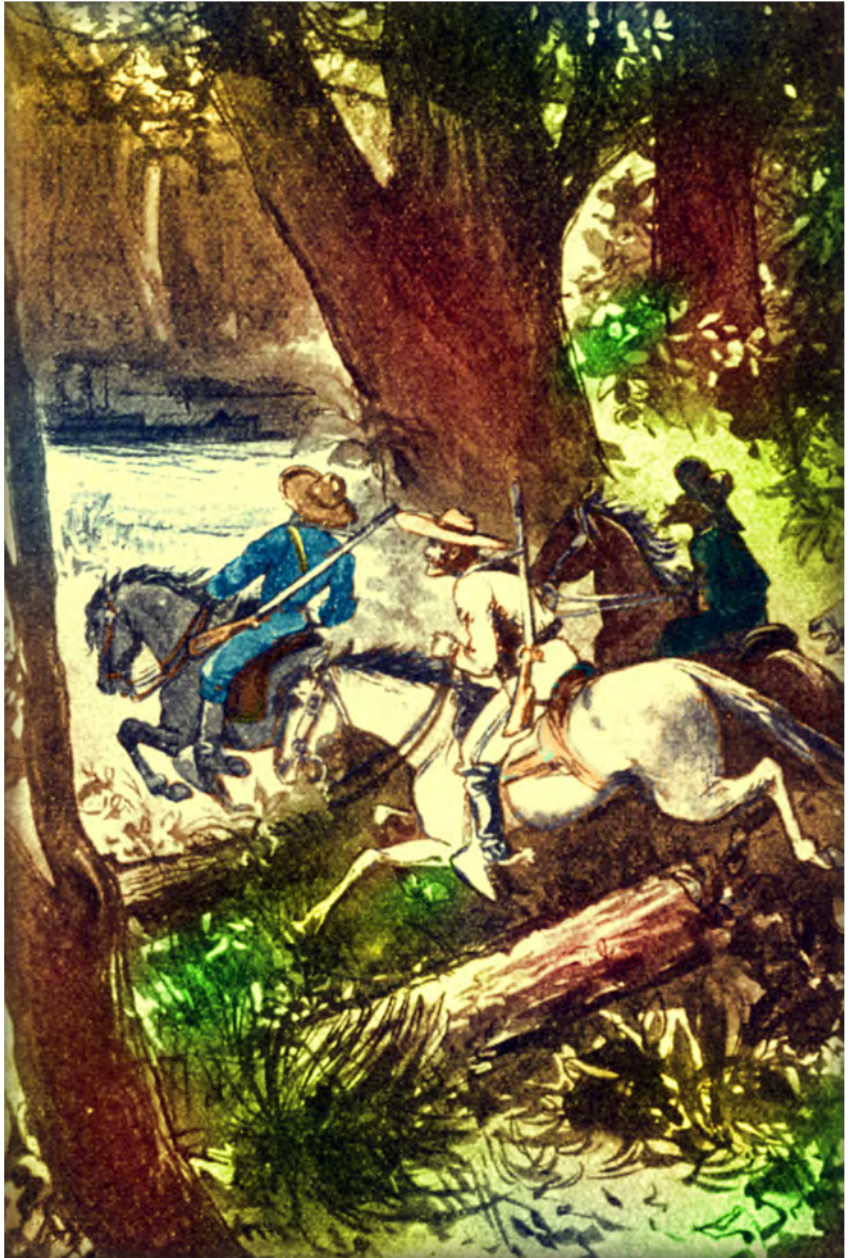
Wydał rozkaz i wkrótce dwóch mężczyzn wiosłowało w kierunku brzegu. Z małego parowca, który tymczasem stanął na kotwicy, zobaczyli, że dwaj wioślarze dostali się na brzeg, zacumowali łódź i podeszli do leżącego człowieka. Rozmawiali z nim przez jakiś czas, po czym wrócili do łodzi bez niego i znów wiosłowali. Podczas gdy jeden pozostał w łodzi, drugi wszedł na pokład.

– No, dlaczego go nie przywieźliście? – zapytał lord.

– Spadł z konia i ciężko się zranił. Cierpi najstraszliwsze bóle, gdy się go dotyka; dlatego prosił, byśmy zostawili go leżącego; jest śmiertelnie ranny więc i tak będzie musiał umrzeć. W lesie spłoszył mu się koń i w ucieczce rzucił nim o drzewo. Gdy odzyskał przytomność, przeczołgał się do brzegu.

– Biedny człowiek. Mimo wszystko trzeba go zabrać – powiedziała Amy.

– Ale dlaczego dawał nam znaki, skoro odrzuca naszą pomoc? – zapytał Sępi Dziób.



Po pół godzinie dotarli do miejsca, gdzie rzeka bardzo ostro zakręcała.

– To posłaniec od Juareza. Otrzymał rozkaz, by stanąć nad rzeką i czekać na lorda Lindsaya, któremu przekaże jakieś bardzo ważne wiadomości – odpowiedział jeden z wioślarzy.

– To mało prawdopodobne. Przecież Juarez wie, gdzie się nas spodziewać. Jeśli rzeczywiście wysłał posłańca na spotkanie z nami, to tylko dlatego, że zmienił termin spotkania lub znalazł powód, by ostrzec nas przed jakimś niebezpieczeństwem. Nawiasem mówiąc, dlaczego tamten człowiek nie przekazał tobie tej wiadomości?

– Żąda rozmowy z samym *sir* Lindsayem, bo wiadomość jest zbyt ważna, by przekazać ją komukolwiek innemu.

– To wydaje mi się podejrzane. Czy widziałeś jego konia?

– Nie. Uciekł mu.

– Czy w pobliżu nie było śladów stóp?

– Nic nie było widać. Grunt jest skalisty.

– Nie obserwowałeś skraju lasu?

– Tak; ale nie zauważyłem niczego podejrzanego.

– Przypuszczam, że będę musiał się tam udać – powiedział lord.

– Papo, zostań – prosiła Amy. – Mam przeczucie, że będziesz w niebezpieczeństwie.

– Muszę jednak wiedzieć, co Juarez ma mi do przekazania.

– Posłaniec może to przekazać komuś innemu.

– Nie zrobi tego – zauważył majtek. – Wyraźnie powiedział mi, że nie wolno mu powiedzieć nikomu innemu.

– Musimy więc ponownie spróbować i sprowadzić go na nasz parowiec.

– Nie zechce. Twierdzi, że jest umierający. Każdy ruch i każdy dotyk sprawia mu tak ogromny ból, że przetransportowanie go na statek jest zupełnie niemożliwe.

– W takim razie ja tam popłynę – oświadczył lord. – Wezmę ze sobą uzbrojoną eskortę, tak że będę całkowicie bezpieczny.

Sępi Dziób splunął z niecierpliwością.

– Czy wiesz, *milordzie*, ilu ludzi może być ukrytych między drzewami? – zapytał.

– W takim razie nie zejść na ląd. Mogę porozmawiać z tym człowiekiem z łodzi.

– Ale można zostać zabitym kulą wystrzeloną z lasu.

– Na miłość boską, papo, zostań tu – błagała Amy.

Wtedy Sępi Dziób wybuchnął wesołym śmiechem, zaklął kilka razy, splunął do rzeki, a potem powiedział:

– Ach, *milordzie*, przyszła mi do głowy rozkoszna myśl.

– Jaka?

– Ja sam tam popłynę.

– Ależ on panu nic nie powie, skoro to mnie chce coś oznajmić.

– Phi! Wcielę się w *sir* Henry’ego Lindsaya.

Lord najpierw zrobił zdziwioną minę, a potem, śmiejąc się, powiedział:

– Żartujesz sobie, Sępi Dziobie.

– Och, nie. Jestem całkowicie poważny. Ten facet pana nie zna, prawda?

– Myślę, że nie. Ale będzie to dla pana bardzo ryzykowne.

– Ryzykowne? Och, nie, wręcz przeciwnie, to będzie zabawa, dla mnie prawdziwa przyjemność. Sądzę, że nie będę źle grał pana rolę, jak kalkuluję.

Zrobił bardzo rozbawioną minę. Amy spojrzała na jego długi nos, wyschniętą, żylastą sylwetkę, nagą, owłosioną klatkę piersiową, zwisające na nim podarte ubranie i powiedziała wesoło:

– Tak, wierzę też, że będzie pan niezwykłym lordem.

– Cóż, nie powinno zabraknąć niezbędnej dostojności – odparł. – Jesteśmy prawie tego samego wzrostu, *milordzie*. Czy ma pan może ze sobą garnituru takiego jakie nosi się w Londynie lub w Nowym Jorku?

– Och, kilka.

– Cylinder?

- Tak.
- Rękawiczki?
- Oczywiście.
- Krawat i okulary?
- Również.
- Może też parasol?
- To się rozumie samo przez się.
- Zechce pan teraz pożyczyć mi te kilka drobiazgów?

Pytanie to wywołało szybkie i wesołe negocjacje, których wynikiem było to, że Sępi Dziób powinien zejść na ląd jako lord Lindsay.

Poszedł z Anglikiem do jego kajuty i w krótkim czasie pojawił się ponownie na pokładzie, ubrany we wspomniany strój.

Amy zamierzała wybuchnąć śmiechem, ale on dał jej szybki znak ręką i powiedział ostrzegawczym tonem:

– Cicho, *milady!* Śmiech damy roznosi się bardzo daleko. Mogliby go usłyszeć na brzegu.

– Ale nie można pozostać poważnym, patrząc na pana – powiedziała, z trudem hamując rozbawienie.

– Niech się pani tym nie martwi. Na pewno nie będą się tam ze mnie śmiali.

– Ale pan jest nieuzbrojony – ostrzegła Amy Lindsay.

– Wezmę ze sobą nóż i dwa rewolwery; to wystarczy.

Długimi, ciężkimi krokami udał się do zarezerwowanego dla siebie pomieszczenia i włożył wspomnianą broń do kieszeni.

W tym pierwotnym lesie był jednak bardzo dziwaczną postaćią. Garnitur z szarego sukna, getry, lakierowane buty, szary cylinder, żółte rękawiczki, parasol i pince-nez² na długim, ogromnym jastrzębim nosie nadawały mu wygląd, który przyciągnąłby

² *Pince-nez* (binokle, cwikiery) – odmiana okularów trzymających się na nosie dzięki specjalnie wygiętemu sprężynującemu elementowi łączącemu oba szkła.

uwagę nawet w dużym, ruchliwym mieście, ale tutaj tym bardziej musiał się rzucać w oczy.

Gdy tylko wrócił, powiedział:

– Obecnie istnieją dwa możliwe przypadki. Albo ten człowiek tam jest naprawdę posłańcem od Juareza, albo cała ta historia to pułapka zastawiona na pana, *milordzie*.

– Mam nadzieję, że to pierwsze – rzekł lord.

– A ja podejrzewam drugie – stwierdził myśliwiec. – Jeśli ma pan rację, to wkrótce tutaj wrócę, ale jeśli moje przeczucie się potwierdzi, to jeszcze nie wiem dokładnie, jak to wszystko się skończy.

– Co musielibyśmy zrobić w takim przypadku, *master* Sępi Dziobie?

– Musielibyście pozostać tutaj na kotwicy do mojego powrotu.

– A jeśli pan nie wróci?

– To poczekajcie do pojutrze rano i ostrożnie popłyńcie dalej. Na pewno znajdzie pan Juareza. Proszę jednak zachowywać wielką czujność. Jeśli zostaną tam schwytany, to będzie znaczyć, że zamierzają przejąć pański ładunek; będą więc próbowali w nocy dokonać napadu.

– Nie będziemy spać, ale czuwać.

– Załadujcie działa kartaczami i zróbcie to natychmiast, ale w taki sposób, aby nie zostało to zauważone z brzegu. Zresztą działa są przykryte nawoskowanym płótnem, więc nawet nie zauważą, co się dzieje.

– Ale pan? Obawiam się, że spotkają pana bardzo źle rzeczy!

– Proszę się nie martwić. Nie zatrzymają mnie, a nawet gdyby mnie schwytali, ucieknę i wówczas pospieszę do Juareza.

– Ale jak się pan do niego dostanie?

Myśliwiec wystrzelił za burtę strumień soku tytoniowego i odpowiedział:



– Cicho, milady! Śmiech damy roznosi się bardzo daleko.
Mogłoby go usłyszeć na brzegu.

– Na koniu, oczywiście.

– Ale pan nie ma konia.

– Ja nie, ale oni tam tak. Swoją drogą, bardzo dobrze znam zakątek między tym miejscem a rzeką Sabiną. Teraz jest jeszcze dość jasno. Przed nocą dotrę na prerię i jeśli koń nie będzie zbyt zły, to przed świtem będę u Juareza. Zapewne wtedy on od razu wyruszy, by wziąć tych łotrzyków za karki.

– Ale skąd mamy wiedzieć, czy został pan potraktowany wrogo i czy uciekł?

– Zobaczycie wrogie traktowanie na własne oczy, a ucieczkę usłyszycie swoimi uszami. Jak już znajdę się na koniu, to na pewno mnie nie złapią. Czy zna pan okrzyk meksykańskiego sępa?

– Tak, bardzo dobrze.

– Otóż, gdy wydam jeden taki okrzyk, znaczy że jestem wolny; przy drugim jestem na koniu, a przy trzecim jestem głęboko przekonany, że ucieknę. Jeśli wtedy usłyszysz z daleka czwarty krzyk, to pewny znak, że jestem w drodze do Juareza.

– Będziemy bacznie nasłuchiwać, *master*.

– Dobrze, więc przygoda może się zacząć.

Sięgnął do kieszeni lśniących nowością spodni ze sukna, wyciągnął ogromny zwój tytoniu do żucia i ugryzł spory kawałek.

– Ależ, panie, lord zazwyczaj nie żuje – zaśmiała się Amy.

– Phi! Lord też żuje – odpowiedział. – Dlaczego lord miałby odmawiać sobie najwspanialszej przyjemności życia? Wszyscy panowie żują, ale nie mogą dać tego poznać paniom.

Wziął parasol pod pachę i wskoczył do łodzi.

– Bądź ostrożny! – ostrzegął go jeszcze lord.

– Ty też, *milordzie!* – odparł, po czym dał znak dwóm mężczyznom, którzy wciąż czekali w łodzi, aby zaczęli wiosłować.

Mała jednostka szybko prześlizgnęła się po falach i w krótkim czasie dotarła do brzegu.

Meksykanin, który pozornie uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, czekał na ten moment z największą niecierpliwością. Jego oczy zalśniły morderczo i wymruczał:

– Ach, nareszcie. Ale ci Anglicy to cholernie głupi faceci. Nawet tu, w tym lesie, nie mogą powstrzymać swoich kaprysów; spleen doprowadza ich wszystkich do szaleństwa. Do diabła! Jaki ten facet ma długi nos!

Sępi Dziób wspiął się na brzeg i, podczas gdy jego dwaj wioslarze zostali z tyłu w łodzi, powoli podszedł do leżącego na ziemi mężczyzny. Kazał majtkom natychmiast uciekać, jeśli pojawi się coś złowrogiego. W tym przypadku rezygnował z ratowania siebie na łodzi.

Chory zachowywał się tak, jakby z trudem mógł unieść się tylko na łokciach.

– Och, *señor*, co za ból muszę znosić! – jęknął.

Sępi Dziób pozwolił, by binokle zsunęły się aż na czubek nosa, popatrzył na mężczyznę bardzo krzywym spojrzeniem, szturchnął go delikatnie końcem swojego parasola i powiedział sepleniącym głosem:

– Boleści! Biada! Boli?

– Oczywiście!

– Ach, nędznie! Bardzo nieszczęśliwie! Jak masz na imię?

– Ja?

– Tak.

– Frederico.

– Kim jesteś?

– *Vaquero*.

– Posłaniec od Juareza?

– Tak.

– Jaka wiadomość?

Meksykanin skrzywił się i jęknął, jakby musiał znosić najstraszliwsze męki. Dało to Sępiemu Dziobowi czas na zbadanie okolicy.

W pobliżu nie było żadnych rzucających się w oczy śladów, na skraju lasu nie było też nic podejrzanego. W końcu Meksykanin odpowiedział:

– Czy pan jest lordem Lindsayem?

– Jestem Lindsay.

– Naprawdę?

– Naprawdę! Co masz do powiedzenia?

– Juarez jest już w drodze. Prosi, abyście przybili do brzegu w tym miejscu i czekali na niego.

– Ach, *wonderful!* Gdzie on jest?

– Jedzie z biegiem rzeki.

– Skąd?

– Z El Paso del Norte.

– Kiedy?

– Dwa tygodnie temu. Podróż nie może odbyć się w krótszym czasie.

– Pięknie! Dobrze! Jednak ja popłynę dalej. Jeśli Juarez schodzi w dół rzeki, spotkam się z nim. Dobranoc.

Odwrócił się z powagą i zachowywał się tak, jakby chciał wrócić na brzeg. Ale wtedy mężczyzna nagle poderwał się i chwycił go od tyłu.

– Zostań, *milordzie*, jeśli cenisz swoje życie! – krzyknął.

Sępi Dziób był wystarczająco silny i zwinny, by obronić się przed tym człowiekiem, ale wołał postąpić inaczej. Stał całkiem sztywno, jakby sparaliżowało go przerażenie, i zawołał:

– *Zounds!* Do cholery, co to jest?

– Jesteś moim więźniem! – odpowiedział Meksykanin.

Anglik rozdziawił usta, a po chwili zapytał:

– Ach, podstęp! Nie choruje?

– Nie – zaśmiał się Meksykanin.

– Nie spadł z konia?

– Nie.

– Łotr! Dlaczego?

– Żeby pana złapać, *milordzie!*

Rzucił przy tym najbardziej pogardliwe spojrzenie na Anglika, który był tak otumaniony i tchórzliwy, że nie myślał o stawianiu oporu.

– Po co łapać? – zapytał Sępi Dziób.

– Z powodu waszego pięknego ładunku, który jest w łodziach.

– Moi ludzie uwolnią mnie!

– Och, nie wierz w to. Tam, jak widzisz, twoi dwaj wiosłarze już uciekają. A teraz rozejrzyj się wokół siebie.

Wiosłarze, tak jak im kazano, natychmiast wycofali się, gdy zauważyli, że Sępi Dziób dał się zaskoczyć. A kiedy się odwrócił, zobaczył dużą grupę jeźdźców wylaniających się z lasu. W ciągu kilku sekund został przez nich otoczony.

Zrobił niesłychanie zdziwioną minę i w największym zaskoczeniu wsparł się na parasolu. Wszyscy jeźdźcy zeskoczyli z koni. Cortejo podszedł do więźnia, ale gdy zobaczył jego twarz, wyglądał na bardzo zaskoczonego.

– Kim pan jest? – zapytał opryskliwie.

– Och, a kim pan jest? – zapytał Anglik, zachowując sztywną postawę.

– Pytam, kim pan jest! – nakazał surowo Cortejo.

– A ja pytam, kim pan jest! – odparł Sępi Dziób. – Jestem Anglikiem, bardzo dobrze wykształconym, z wytwornej rodziny; odpowiem dopiero po panu.

– No dobrze. Nazywam się Cortejo.

Anglik zrobił najbardziej zdumioną minę, która jednak nie była u niego żadnym pozorem, i zapytał:

– Cortejo? Ach, Pablo Cortejo?

– Tak się nazywam – odparł dumnym tonem zapytany mężczyzna.

– Niech to piorun trzaśnie! To wyśmieniecie!

Ten okrzyk również pochodził z bardzo szczerego serca. Był bardzo zaskoczony widząc tu Corteja, a jednocześnie ucieszył się z tego, ponieważ powiedział sobie, jaką satysfakcję odczuje Juarez, dostając tego człowieka w swoje ręce.

– Wyśmienicie, prawda? – zaśmiał się Cortejo. – Tego się pan nie spodziewał. Ale teraz powiedz mi wreszcie, kim jesteś, *señor*.

– Nazywam się Lindsay – odpowiedział zapytany.

– Lindsay? Ach, to jest kłamstwo.

– Jak śmie pan tak mówić?

– Ja. Bardzo dobrze znam lorda Henry'ego Lindsaya. Pan nim nie jest.

Sępi Dziób trochę się przestraszył, ale bardzo szybko odzyskał spokój. Człowiek taki jak on nie mógł być czymś takim wyprowadzony z równowagi. Wydął usta, wytrysnął długim, cienkim strumieniem soku tytoniowego tuż obok nosa Corteja i odpowiedział chłodno:

– Faktycznie, nie jestem nim.

Cortejo odrzucił głowę do tyłu i powiedział gniewnym tonem:

– Uważaj, gdzie plujesz, *señor*!

– To pan uważaj. Zawsze trafiam tam gdzie chcę – odparł spokojnie.

– Cóż, mam nadzieję, że to nie mnie chciał pan trafić.

– To się jeszcze może zdarzyć.

– Bardzo sobie to wypraszam. Więc nie jest pan lordem Henrym Lindsayem?

– Nie.

– Ale dlaczego go pan udaje?

– Bo jestem nim.

Swoim spokojem nieco zdenerwował Corteja, który zawołał:

– Do diabła, jak ja mam to rozumieć? Nie jest pan nim, a jednak jest!

Sępi Dziób, ani drgnąwszy, zapytał go:

- Był pan kiedyś w Starej Anglii?
- Nie.
- Ach, to nic dziwnego, że nie pan nie wie. Lordem jest tylko najstarszy syn; późniejsi synowie nie są lordami.
- Więc jest pan późniejszym synem Lindsaya?
- Tak!
- Jakie jest pańskie imię?
- *Sir* David Lindsay.
- Hm! Dobrze! Ale w ogóle nie jest pan podobny do swojego brata.

Sępi Dziób splunął blisko obok twarzy Corteja i odpowiedział:

- Bzdura, nonsens!
- Chce pan temu zaprzeczyć?
- *Yes!* – przytaknął.
- Zaprzecza pan, że nie jest podobny do brata?
- Zdecydowanie temu zaprzeczam!
- W jaki sposób? Dlaczego?
- *Phi!* Pan nie ma racji! Nie chodzi o to, że jestem niepodobny do brata, ale o to, że on nie jest podobny do mnie!

Cortejo z początku nie znalazł żadnej odpowiedzi na tego rodzaju pogląd. Najchętniej rzuciłby potężnym przekleństwem, ale imponowała mu pewność i nieustrasżoność Anglika. Po krótkiej przerwie powiedział:

- Ale ja oczekuję pańskiego brata.
- Lorda Henry'ego?
- Tak.
- Dlaczego go pan oczekuje?
- Powiedziano mi, że to właśnie on przewozi ładunek.
- Błąd. To ja dowodzę!
- Miała być z nim panna Amy.
- Była z nim.

- Zatem kim jest ta pani, którą widać na pokładzie?
- To jest panna Amy.
- Ale gdzie w takim razie jest jej ojciec?
- Już przy Juarezie.
- Ach, więc on już nas wyprzedził! Gdzie jest Juarez?
- To jasne, że w El Paso del Norte.
- A gdzie miał dotrzeć ładunek?
- Do Fort Guadeloupe.

Przez twarz Corteja przemknął wtedy szyderczy, zwycięski uśmiech.

- Nie sądzę jednak, by dotarł tak daleko.
- Zatem dokąd?
- Tutaj, do tego miejsca. Przybije pan do brzegu i cały mi przekaże.

Anglik rozejrzał się wokół siebie. To spojrzenie wydawało się nadzwyczaj obojętne, niemal roztargnione, a jednak posiadało skrywaną bystrość, z jaką przebiegły myśliwiec patrzył na wszystkie konie. W tym momencie wiedział już, które z tych zwierząt pochwyli.

- Przekazany panu? – zapytał. – Dlaczego panu?
- Bo bardzo potrzebuję wszystkiego, co ma pan na łodziach.
- Ach, bardzo potrzebne? Ale, niestety, nie mogę nic sprzedać. Zupełnie nic!
- Och, *señor*, to wcale nie jest kwestia sprzedaży. Przeciwnie, cały ładunek, wraz z parowcami i łodziami, otrzymam w prezencie.

- Prezent? Ja nic nie daruję.
- Och, tak, bo zmuszę pana do tego!
- Zmusisz mnie? – zapytał Anglik z najbardziej obojętnym wyrazem twarzy.

Wzruszył ramionami, wyduł usta i wypluł potężny strumień tytoniowego soku tak precyzyjnie, że ten trafił w górną

część kapelusza Corteja, a następnie zaczął ściekać z jego szerokiego ronda.

– Do stu piorunów! – zawołał trafiony Meksykanin. – Jak pan śmie! Czy wie pan, jaka to jest obraza?

– Daj pan spokój! – odparł spokojnie Sępi Dziób. – Jestem *Englischman*. Dżentelmen może pluć, gdzie mu się podoba. Ci, którzy nie chcą być trafieni, mogą robić uniki.

– Ach, odczytamy cię tej mody! Musisz teraz zadeklarować, że przekażesz mi ładunek!

– Ani mi się śni!

– Zmuszę pana! Jest pan moim więźniem!

– Pchtsichchch! – nowa wiązka soku przeleciała tuż obok nosa Corteja. Sępi Dziób znów zaczął bawić się parasolem i powiedział:

– Więźniem? Nic o tym nie wiem!

– Więc niniejszym informuję pana!

– Ach, to ciekawe! Bardzo ciekawe! Od dawna chciałem zostać więźniem!

– No to spełniło się pańskie życzenie. Ma pan teraz rozkazać swoim ludziom, aby nie płynęli dalej!

– Bardzo dobrze, zrobię to!

Powiedział to takim tonem, jakby całkowicie zgadzał się z Meksykaninem. Wziął parasol pod pachę, przyłożył obie dłonie do ust i krzyknął tak głośno, że wyraźnie można było usłyszeć go na parowcu:

– Zatrzymać się tutaj! To Pablo Cortejo!

Wymieniony złapał go za ramię i odciągnął do tyłu.

– Do wszystkich diabłów! Co pan wyprawia! Po co tym ludziom wiedza o tym, kim jestem?

– Dlaczego mi to pan powiedział? – zapytał bardzo obojętnie Anglik.

CHCESZ PRZECZYTAĆ
DALSZĄ CZĘŚĆ?

Leśna Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

MAKSYMILIAN,
CESARZ MEKSYKU CZ. 2

